



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

EMANCYPACYA KOBIET POLSKICH

w XVI i XVII wieku.

(Dokończenia).

„1) Ponieważ stało się ogólnym obyczajem, że panowie młodzi za dużo czasu tracą na konkury, zostawiając nas bez nadziei co do rezultata małżeństwa zbyt długo, powinny przeto nasze delegatki postarać się o to, iżby ustanowiony został termin prekluzyjny dla konkurów, aż do faktycznego zawarcia małżeństwa, to jest w ciągu Czerwca każdego roku.

2) Rozważywszy, że przyczyną całego złego, jest ogólnie panująca chciwość, która ma to w następstwie, iż nie jest poszanowaną ani cnota, ani piękność, ani pochodzenie szlacheckie przy zawieraniu małżeństwa: potrzeba, ażeby nasze panny nie patrzyły na bogactwo konkurentów, ale ażeby fortunę na równi z ubóstwem cenily, a nie stawiały wyżej bogactwa nad swoją piękność i pochodzenie.

3) Z uwagi, że wielu mniej zamożnych młodzieńców stara się o panny z czystej skłonności serca, podczas gdy rodzice sprzeciwiają się temu, nawet przeszkody stawiają przez wypędzanie synów lub córek nieposłusznych z domu, życzymy sobie, ażeby nam wolno było młodzieńców, nawet wbrew woli rodziców, poślubić.

4) Z uwagi, że krótki karnawał w sfalszowanych kalendarzach daje pozór do odkładania lub przeciągania małżeństwa, prosimy, iżby po wspólnym układzie z rzymskim dworem—co łatwo Jego Królewska Mość uzyskać może, czas karnawałowy trwał 17 tygodni i 3 dni. Zwracamy na

ten punkt szczególną uwagę naszych delegatek.

5) Ponieważ wielu takich młodych bywa, którzy się podczas karnawału starają o pannę, ale małżeństwo odkładają, przeto delegatki bacność na to zwróć, iżby każdy, kto konkuruje podczas karnawału a małżeństwa zaniecha w prekluzyjnym terminie, zapłacił 1,000 polskich złotych za karę do ogólnej kasy, służyć mającej dla osieroconych panien.

6) Z powodu, że wielu młodzieńców zaniedbuje gospodarstwa domowego, przez to, iż niby służą w wojsku lub u dworu, a skutkiem tego nie zawierając małżeństw, dochodzą do późnego wieku, nasuwa się więc konieczność oznaczenia pewnych terminów w każdym okręgu przynajmniej cztery razy na rok w miejscach, gdzieby się młodzieńcy i dziewice zwykle zbierali celem zaznajomienia się bliźszego. Gdyby który z młodych bez ważnego powodu nie przybył, ma być obwołany za bezecnego.

7) Z uwagi na to, że panny danego słowa często nie dotrzymują, potrzeba postanowić, iżby każdej stronie dozwolone było z tego powodu wnieść skargę przed trybunał. W związku z tem należy ogłosić takie prawo, któreby za przekroczenie rzeczzonego przepisu wkładało karę z natychmiastowym jej wykonaniem.

8) Ponieważ nasi ojcowie zenią się z pannami naszego stanu wbrew ich woli, przez co wynikają niezgody i nieszczęścia w małżeństwie, przeto delegatki postarać się o to powinny, iżby w przyszłości każda panna wybierała sobie męża według własnego upodobania.

9) Gdy prócz tego wielu bywa takich skąpych ojców, którzy o swe dzieci nie dbają, nie dając im ani sukien ani dostatecznego pożywienia, życzymy więc sobie, iżby ogłoszonym zostało prawo, mocą którego ojcowie zmuszeni byłiby odpowiadać za wypożyczone przez ich córki suknie i pożywienie.

10) Z uwagi, że wdowy pomimo straty jednego lub dwóch mężów nie wstydzą się zwabiać młodych synaloków posagiem lub innymi środkami, życzymy sobie, iżby wdowom po 40 roku życia, nie wolno było pod utratą czci wchodzić w związki małżeńskie, a to z tego powodu, iż podobne wdowy zamiast zwabiać młodych, prąść powinny i modlić się.

11) Ponieważ panny często z nakazu rodziców zaślubiają wdowców, którym się też opierają, życzymy przeto sobie, iżby małżeństwo z takim uznane było za nieważne, chyba, że wdowiec jest bezdzietnym.

12) Z uwagi, iż rodzicom miło jest, gdy córki ich najdłużej w domu gospodarstwem się zajmują, lecz te skutkiem tego starzeją się i nie zawierają małżeństwa, ani posagu odebrać nie mogą: potrzeba ogłosić prawo, według którego ustanowionyby został wiek panny, celem wzięcia ślubu z narzeczonym *nemine contradicente* po upływie terminu prekluzyjnego.

13) Z uwagi, że nie każda panna cieszy się olśniewającą urodą, należy gorzej uposażonym przez naturę nie bronić środków służących dla podniesienia wdzięku, a w tym też celu potrzebnym jest prawo, na mocy którego kupcy prowadzący z zagranicy farby, pachnące płyny, oraz inne do podniesienia urody służące środki, mają być wolni od podatków i cieszyć się dobrodziejstwem zwolnienia z opłaty czwartego grosza.

14) Ponieważ ustalili się pomiędzy młodzieżą obyczaj, iż konkury trwają czasami do 40-go roku życia, tak że przez to panny starzeją się, przeto zmuszeni mają być młodzieńcy do brania ślubów w pewnym terminie prekluzyjnym.

15) W razie, gdyby ubogi młodzieniec starał się o bogatą a starą kobietę, ma być naznaczoną na niego kara.

16) Kto się nie nauczył tańczyć, ani kto nie umie przywoitych żartów opowiadać w towarzystwie kobiet, ma być zeń wykluczony.

17) Z uwagi, że spotęgowania miłości tylko wtedy oczekiwać można, gdy istnieje równość charakterów: powinien się sejm postarać o to, iżby tylko narzeczeni równego usposobienia ze sobą się pobierali, tak naprzykład, iżby młodzieńców o złych przywarach, takąż pannę tegosamego charakteru pojął, brzydki brzydką, a także ubogi na umyśle—ubogą.

18) Delegatki nasze mają polecane ze względu na to, że Rzeczpospolita narażana jest na napady nieprzyjaciół, że często jej granice strzeżone być muszą, działać w tym kierunku, iżby tacy tylko młodzi i wdowcy całe życie w wojsku służyli, którzy już żadnej energii życia nie posiadają.

19) Ponieważ zdarzają się małżonkowie, którzy bronią żonom swoim tańców, żartów i innej kretochwili, niechże się o to postarają nasze delegatki, iżby to wszystko dozwolonem nam było aż do dziesięciu lat po ślubie.

20) Na podstawie prawdy wspartej doświadczeniem, że nigdy Polacy z Niemcami dobrze ze sobą nie będą, niechże nasze delegatki postarają się o takie prawo, któreby nakazywało raz na zawsze, iżby krajowiec nie żenił się z Niemką, czyby nią była dama dworska, czy dziewczyna ze Szlązka przybyła, a to pod karą utracenia otrzymanych zaszczytów, starostw i królewskich.

21) Na opiekunów i braci osierociałych panien, którzy je umyślnie w domu trzymają, ażeby korzystać z dochodów dóbr ich, mają być kary wymierzone.

22) Małżonkowie nie mają zaraz po zawarciu małżeństwa, wyznaczać żonom swoim dożywotniego utrzymania, tylko zwyczajne, zwłaszcza gdy umierają przed 40-ym rokiem życia, a co się tyczy inwentarza majątkowego, mają być małżonkowie od zdawania rachunków przed successorami zwolnieni, ponieważ przez wspólną działalność majątek zwiększają.

Tu następują podpisy wybranych delegatek.

Te *Artykuły panińskie*, w formę podania do sejmku dla większej zjadliwości przyobleczone, uzupełniają treść i ducha poprzednio wzmiankowanych satyr Oleskiego, Bielskiego i Anonima.

Bielski w scenicznych dialogach swej satyry, którym brak dramatycznego motywu, dał charakterystykę rozmaicie usposobionych kobiet bardzo zręczną. Nadzwyczajną łatwość chwytania ludzkich słabości z komicznej strony ma Bielski sobie wyrodzoną. W podobny też sposób charakteryzuje i wyższe stany, przez co wykazuje swój talent humorysty, sprostregacza. Jego na obrady zebrane kobiety zredagowały również 20 artykułów, które jednak stoją w sprzeczności z owymi z rękopismu. W satyrze występują kobiety politycznego usposobienia, które podają nowe żywioły praktycznie rozsądne, mające na celu istotny postęp w ogólnym porządku. Treść artykułów daje obraz życia bez troski ówczesnych mężczyzn, którzy, opadli z sił i moralnej działalności, nie zdolni są podnieść narodowej oświaty. Dlatego gorąca natura kobieca żąda bezwarunkowego równouprawnienia w działalności i wyborze środków, ażeby coraz bardziej rozprzegające się stosunki państwowe podratować. W motywowaniu ich życzeń tkwi racjonalna siła, która, naturalnie, liczy się za zasługę autorowi, boć skoro mężczyźni rządy z rąk wypuszczają i społecznego życia opanować nie umieją, to nic dziwnego, że działalność ich przejść winna w ręce kobiece.

Bielski, zarliwy obrońca słuszności, pomimo uprzedzeń przeciw kobietom, każe jednak w satyrze swej występować mężczyźni wraz z kobietą na arenę publicznego życia, i zapewne z myślą wspólnego pożytku dla ogółu; gdy tymczasem Anonim w swej satyrze odsądza mężczyzn od wszelkich przymiotów ducha, pozostawiając całą działalność w życiu kobietom. Im wolno jeździć konno, nosić mekkie suknie i zbroję, ubiegać się o nagrodę na wyścigach, polować; mężczyzna zaś musi służyć kobietom ślepe posłuszeństwo, a za każdą, choćby najlżejszą, winę, surowo jest karany. Artykuł XVII tej satyry brzmi: „Kto popełni zbrodnię, albo w inny jakibądź lekkomyślny sposób kobietom ubliży, ma być trzy razy wokół ratusza przeprowadzony, bez pasa i czapki, a w jego obuwiu na gołe stopy ma być groch nasypywany.”

Każdy tego rodzaju przeciw emancypacyjnym dążeniom kobiet wystosowany pamflet, podlegał konfiskacie i był z rozkazu krakowskiego officyała publicznie palonym.

Ta bogata literatura satyryków XVII stulecia, która z tak różnych stron omawiała sprawy kobiet, lubo złego nie usunęła, ani usunąć nie mogła.—bo życie bierne kobiety bez względu na jej indywidualność poddawało ją ówczesnie panującym żywiołom,—daje jednak aż nadto dostateczny dowód niezaprzeczonej dążności emancypacyjnych ówczesnej kobiety.

E. L.

SŁOWACZKA

NOWELLA

przez

T. T. JEŻA.

Na południowej Karpatał pochyłości wesołość nie gości pomiędzy szczepami spokrewnionymi z nami pochodzeniem. Do szczepu tego rodzaju należą Słowacy, rozsiedleni od Karpatał do Dunaju prawie, od Cisy do pogranicza Morawii. Żaden z narodów słowiańskich nie jest nam bliższy językiem. Mowa słowacka wydaje się prowincjonalizmem mowy polskiej—odmianą jej zakarpacką. Lud to poczciwy, spokojny, łagodny, który w dziejach nie przedstawia się inaczej, jak pod panowaniem obcych. Nic o niepodległości słowackiej nie wiemy—nie wiemy nawet, ażeby kiedy Słowak myślał o niej. Poddany węgierski, węgierskie panowanie przyjmował umysłem i sercem ochoczo aż do chwili kiedy, w czasach nader dawnych, zabląkała się na Słowaki idea narodowości i wszczepiła w łono ich pragnienie bycia sobą.

— Słowak-sem... słowak-em jest...

Wydawało mu się dawniej, że jest Węgrem—do węgierstwa przyznawał się, na zewnątrz zwłaszcza ojczyzny swojej. Handlarze z olejkami, maściami cudownymi, obrazkami i rozmaitemi sekretami leczniczymi, którzy w Polsce po wioskach z króbkami na plecach krążyli, byli to Słowacy. Myślni ich i oni siebie sami zwali Węgrami. Przypuszczać należy, iż tak pozostałoby było do dnia dzisiejszego, gdyby nie idea owa, o której wspominały powyżej. Lud nie wiedział, z kąd się ona wzięła—z nieba się zjawiała—przyjął ją jednak i przyswoił sobie.

Momentem, w którym idea ta gruntu się czepiła, był rok pamiętny 1848. Roślinę tę ostatecznie podchodowali ci, co mieli interesu najwięcej do gruntu jej niedopuszczać: Austriacy. Oni ją rozgłosili i akcent jej nadali, gdy potrzebowali niebo i ziemię poruszyć do walki z Węgrami. Rozkwit jej nastąpił później — jako następstwo. W latach 1848 i 49 wykielkowała ona, w łódzki strzeliła, zajęła umysły niektóre: ogółowi była obcą jeszcze.

Z ogółem trzymał Janosz Żurbaj, który w Koszycach na przedmieściu miał domek z sadkiem i córką Lenką. Był to człek zamożny—rzemieślnik jakiś — jaki? — nie wiem; znałem go bowiem tylko w domku jego, gdy w fartuchu od roboty wracał, fartuch zrzucił, kurtę z szamerowaniem na siebie wdziewał i spoczynkowi się oddawał. Spoczywał rad; lubił gości przyjmować, „borem“ ich częstować i opowiadaniem zabawiać. A miał opowiadać o czem: w huzarach niegdyś służył. Znaczył go też akcent huzarski, który zachowywał, pomimo lat, co mu się na grzbiecie nagromadziły, i tuszy, w jaką go dobrobyt zaopatrywał. Człek gruby, wąsaty, marsowaty, tak siwy, że aż białawy prawie, poza rzemiosłem swoim, które praktykował w mieście, i córką, którą chował przy sobie, nie wiedział więcej o niczem, tylko o bojach, w których ze szwadronem udział brał. Odbijał kampanie we Włoszech, w Niemczech, w Austrii; wiedział, że wojował przeciwko Francuzom, ale nie obchodziło go zgoła, o co się rzecz

toczyła: szedł, gdzie szedł szwadron jego. To mu starczyło do zaspokojenia sumienia—o resztę nie pytał. Kapitulacją wysłużył, ożenił się, na ojcowiznie osiadł; żona go odumarała: pozostała mu córka jedynaczka i ją kochał nad wszystko—nad wspomnienie nawet konia swego, na którym kampanie wszystkie odbył i który mu zdechł w końcu. Wypadek ten był jednym z powodów najważniejszych do opuszczenia szeregów wojskowych. Gdyby nie to, byłby się nie ożenił i córki nie miał. Ożenienie odegrywało w życiu jego rodzaj intermezza, służącego na to jeno, ażeby mu wynagrodzić stratę konia.

— Kary był... kary—powiadał — siedmiogrodzianin: nogi żelazne, leb twardy, chody miękkie... nie wiedział, co to utknąć... Słyszysz, Lenka? nie wiedział, co to utknąć... Gdybyś ty go była widziała!

Lenka go widzieć nie mogła, gdyby on bowiem był nie zdechł, ona-by na świat nie przyszła. W sercu ex-huzara wynagradzała ona stratę karego zupełnie, z sutym procentem nawet—nadała się bowiem. Stary ją do szkoły posyłał; ona się uczyła, uczyła się głównie w tym celu, ażeby umieć na książce do nabożeństwa czytać. Uwalniało ją to od nauk wyższych: od geografii i historii, od łaciny i języka madiarskiego, który dopiero potrzebnym był na stopniu edukacji wyższej. Poprzestawała przeto na tym języku, jakim się porozumiewała z ojcem, który po madiarsku umiał niby, ale nie tego. Umiał kłać doskonale; gdy atoli do rozmowy przychodziło, mówił, ale mieszał wyrazy węgierskie ze słowackimi i to mu wystarczało, tak w szwadronie, gdzie *pojtusze* (koledzy) tymsamym, co on, językiem mówili, jak w mieście rodzinnem, gdzie ludność słowacka przeważnie przyuczyla Madiarów zakutych do rozumienia gwary, którą się w stosunkach z niemi posługiwała. Kto go zaś nie rozumiał, krzywdą była nie jego. Jego to nie obchodziło. Kwęstya ta, ani u niego, ani wogóle przed r. 1848 nie stała na porządku dziennym. Językowość nie interessowała nikogo, albowiem Madiary sami uważali jeszcze mowę swoją rodowitą za niezastępowalną na szacunek szczegółny. Gdzieindziej zarzucona łacina jeszcze się u nich trzymała: mówili nią zwęgierska, językiem zaś własnym zkiepska powęgiersku. Słowaków przeto pod względem językowym nie zaczepiali i ztąd pomiędzy tymi ostatnimi dużo znajdowało się takich, co, mówiąc posłowacku, nie wiedzieli, że to nie jest język węgierski. Do takich należał Janosz. Ani się domyślał, że wobec przyszłości staje obarczony występkiem przeciwko majestadowi państwowemu.

Nie miał się za Madiara, ale za Węgra, albo raczej za ex-huzara. Umiał pomadiarsku kłać i był w sumieniu swoim jaknajzupełniej spokojny.

W duchu tym córkę wychowywał.

— Ty, Lenka, ty sama ucz się na książce czytać. Nie chcę, żebyś do kościoła bez książki chodziła.

Na tem polegała jego miłość własna—próżność ojcowska. Nie obchodziło go już to, że wraz z czytaniem uczy się dziewczyna pisania i rachunków, że, oprócz pisania i rachunków do głowiny jej i wyobraźni wciskają się wiadomości i pojęcia, udzielane dzieciom przez nauczyciela w sposób opowiadany. Ani nawet pytał o to. Bardziej go obchodziło coinne. Do szkoły z Lenką poszedł razem Franio, chłopiec od niej o lat kilka—o cztery czy pięć, starszy, syn rzemieślnika, wielkiego Janosza przyjaciela, który go wcześniej do szkoły oddać zapomniał. Owoż Franio ów interessował starego, raz dlatego, że przyjaciela jego synem był, powtóre dla tej przyczyny, że chłopiec posiadał przymioty, które on cenil wysoko: był to zuch w całym wyrazu tego znaczeniu; zuch, na urwisza nieco zakrawający, ale szczerzy i serca dobrego. Janosz oko na niego zwrócił i tak sobie pomyślał:

— Lenka moja dziewczyna; dziewczyna stworzona jest na to, ażeby za męża poszła: coby to szkodziło, żeby ona poszła za Frania?

— Powiedział to przyjacielowi, a przyjaciel na to:

— Ih, nie zaszkodziłoby to nic.

— Ani Lence, ani Franiowi?

Przyjaciel potwierdził.

— Wiesz-że ty co—zaczął Janosz.—Ja dziewczynę do szkoły poszłę, ażeby się nauczyła na książce do nabożeństwa czytać. Poszlij ty Frania.

— Gdyby mi to było wcześniej do głowy przyszło...

— Lepiej późno, niż nigdy.

— Albo to on się nauczy czego?

— Spróbuj.

— Spróbować nie zawadzi. Niech idzie!

— Przyszlij-że mi go. Wyprawię ich razem.

Przyjaciel propozycją tę przyjął i, gdy odszedł, stary z córką się rozmówił.

— Pójdziesz ty — powiadał — do szkoły z Franiem razem. Będziesz się uczyła ty, będzie się uczył on. Pamiętaj-że sobie, ucz się tak, ażebyś go zawstydziała. Rozumiesz?

Dziewczyna odpowiedziała, że rozumie, lubo wistocie nie rozumiała zgoła racyi, dla której-by Frania zawstydząć miała. Racyi tej nie tłumażył jej ojciec; polegała zaś ona na tem, że w sposób ten spodziewał się emulacją zaszczerpić i tak dziewczynę jak chłopca do przścigania się wzajemnie pobudzić.

— Przścigać będą jedno drugie i prędzej się wyczą—myślał sobie.

Więc też i chłopca upominał.

— Słuchaj-no ty—mówił do niego—nie daj się Lence wyprzedzić. Ona od ciebie młodsza. A miej na nią oko, ażeby jej urwisz jaki w szkole lub na drodze przykrości nie wyrządził. Tyś chłopiec, ona dziewczyna; tyś silny i zuch, ona słaba. Rozumiesz?

Frano rozumiał połowę, połowy nie. Połowę rozumianą przezeń była druga, która mu powagę nadawała, a zarazem w perspektywie ukazywała walki, jakie w obronie Lenki staczać mu przyjdzie. To go do szkoły zachęciło. Do walk uczył w sobie popędy wielkie: trapiło go świerzbienie dłoni. Odpowiedział przeto:

— O, rozumiem. Palcem jej nikomu tknąć nie dam.

— I będziesz się uczył?

— No, tak.

— Żeby się ona prędzej od ciebie czytać nie nauczyła.

Chłopak oczami łysnął i głową kiwnął, nie umiał bowiem wytłumaczyć sobie, na licha się czytanie zdało! Przecież on ani księdzem, ani pisarzem przy solgabirze nie zostanie. Ojciec czytać nie umiał, w domu książki nie było: nie widział przeto racyi innej w chodzeniu do szkoły, prócz czuwania nad Lenką.

Czuwał też nad nią bardzo gorliwie, w początkach zwłaszcza. Przychodził do Janosza rano i po południu, na godzinę niekiedy przed rozpoczęciem lekcji; Lenkę odprowadzał i przyprowadzał, a staremu rapport zdawał.

— Dziś nie stało się nic, Lenki nie zaczepiał nikt.

— Czuwaj ty nad nią.

— O! ja czuwam.

— Ona dziewczyna, tyś chłopiec.

— O! ja o tem wiem.

Stary zapytywał go niekiedy:

— Jak-że tam w szkole?

— Dobrze—odpowiedział—doskonale.

„Dobrze“—„doskonale“—odnosiło się do nauczyciela, który się zwał Ludwik, albo raczej zwęgierska „Lajos“, Sztorn i był ideałem pedagoga, nauczającego z powołania. Powołanie zastępowało w nim praktykę, której nabyć nie mógł, nie liczył bowiem wieku swego lat więcej nad dwadzieścia parę w momencie, kiedy Frano i Lenka poraz pierwszy na ławie szkolnej zasiedli. Powitał ich, jak się wita goście pożądaných; miejsce dla nich wyznaczył i tak do nich przemówił:

— Będziemy ze sobą w przyjaźni. Nie pytam was: czy z ochotą przychodzicie, zapewniam was jeno, że z ochotą chodźcie będziecie. W szkole dobrze. Gdyby się tobie, albo tobie, co nie podobało, powiedz mi.

Zadaniem Lajosza było dzieciom naukę uprzyjemniać. W celu tym używał sposobów różnych, któreby może nie sprowadzały rezultatu pożądanego, gdyby on osobą swoją nie—że się tak wyrazimy—magnetyzował dzieci. Wydziałała się z nie-

go uprzejmość, słodycz—pociągał, wzbudzał do siebie ufność; w razach, gdy rozkazywać było potrzeba, prosił i prośba jego miała potęgę rozkazu. W sposób ten ujmował sobie uczniów swoich i robił z nimi, co chciał: jednych, ciekawych, nauczał, w drugich burzliwość temperamentu neutralizował.

Lenka była ciekawą, Frano nie. Lenka polykała niejako, co z ust nauczyciela wychodziło; Frano—drzemał. Lekcje były dla niego momentami nudów wielkich, którychby przenieść nie mógł, gdyby nie obowiązki czuwania nad dziewczyną, do którego się niejako honorem zobowiązał. Chodził przeto do szkoły regularnie a uczył się machinalnie. Nauczył się nie bez trudu, czytać, pisać, czterech działań, bo musiał. Nauczyciel mu to w głowę włożył, albo raczej wepchnął; sposobem wpędzania w naczynie zamknięte płynów za pomocą pompy; ponad to jednak nie przyjmował od niego nic, pomimo, że do przejmowania było niemało. Lajosz opowiadał dzieciom rzeczy niesłychanie zajmujące: o kraju i o czasach dawnych. Dowiadywały się od niego, co to za kraj, w którym mieszkają i jakie on przechodził koleje. Wyrazy: „Słowak“, „Słowacy“ wychodziły z ust jego ustawicznie i wbiły się młodym słuchaczom i słuchaczkom, nie tylko w głowy, ale i w serca, a to dla tej przyczyny, że łączyła się z wyrazami temi idea pokrzywdzeniem brzemienna.

Działo się to w momencie, kiedy się na Słowakach ruchy umysłowe przejawiać począły, kiedy Hurban, Kalinczak, Hodža, bracia Szturowie pierwsze książki w świat puszczali i najpierwszy dziennik wydawać zamierzali, kiedy się przebijać zaczęły nazwiska pracowników narodowych. Lajosz miał ku pomocy książek kilka, czytywał dzieciom powieści Kalinczaka i utwory poetyczne Sztura; zajmowało to je ogromnie i stanowiło jedną z ważniejszych do uczenia się podniet—nie dla wszystkich jednak.

Dla Frania—nie.

On słuchał i nie słyszał.

Podczas kiedy Lenka niektóre z utworów poetycznych Sztura i Hurbana z pamięci recytowała, on nie wiedział nawet, czy oni co pisali.

Linę nauka zajmowała wielce, do nauczyciela zaś czuła pociąg ów sympatyczny, który w duszach ludzkich urabia wdzięczność za rozkosze doznane. Gdy ojciec zapytywał:

— Cóż tam? Lajosz ciebie za uszy nie kręci?

Dziwiła się i odpowiadała:

— O? On taki dobry!

Wielkie jej uradowanie sprawiło, gdy Janosz stary powiedział jej razu pewnego, ażeby zaprosiła Lajosza na obiad na niedzielę.

Działo się to w roku 1845. Data w tym razie ma znaczenie swoje. Lenka liczyła podówczas lat czternaście i gospodarowała już, to jest utrzymywała porządek w dwóch izbach, z których się domekskładał, i pomagała kucharce w przyrządzaniu gulaszów, paprykaszów i hałuszek. Na przyjęcie nauczyciela wystąpić chciała, jak „się patrzy.“ W izbie wymiotła i wyczyściła; w kuchni dopilnowała; stół obrusem białym nakryła; karafkę wina i butelkę wody kwaśnej postawiła, i czekała. Lajosz pojawił się w porze właściwej. Janosz spotkał go na podwórzu, powitał i śmiał się, śmiechem wyrażając uprzejmość, a zarazem zadowolenie z tego, że gość na siebie czekać nie kazał.

— W samą przychodzisz porę. Stół nakryty, obiad gotowy.

— A do obiadu ja — odparł Lajosz—przynoszę przyprawę.

— No? — zapytał stary — jaką?

— Radość.

Gdy wyraz ten wymawiał, oczy jego i oblicze jaśniały uradowaniem wielkiem.

— Przy stole — dodał — w dobrym będziemy humorze, a dobry humor przy jedzeniu jest poręką zdrowia.

— O tak — potwierdził Janosz. — Cóż tam za radość nam przynosisz?

— O...—odparł, wydobywając z zanadru i rozkładając dziennik, zaznaczony widnym tytułem: *Narodne novine*. — O! — powtórzył.

Na obliczu jego w jedno się zlewały: uradowanie i tryumf.

Stary popatrzył się, wąsy pogładził, odchrząknął i odezwał się:

— No... no...

Nie rozumiał on, czemu to właściwie Lajosz tak się raduje. Nie wchodził w to jednak. Wąsy gładził, chrząkał i zukosa na dziennik spoglądał.

— Już się teraz Słowaczyna zaznaczyła. Mamy nakoniec dziennik, organ swój, swój własny; mamy się czem przed światem świadczyć. Jesteśmy!.. Wszak zaprenumerujecie, panie Janosz, *Narodne novine*?

— A co to: zaprenumerujecie?

— Złożycie na pocztę florenów (liczbę przeczytał) i będzie wam listonosz dziennik regularnie do domu przynosił.

— A tak! a tak! — podchwyciła Lenka, która w milczeniu i w zadumie przysłuchiwała się rozmowie ojca z nauczycielem i patrzyła na tego ostatniego. — Będę czytała, będę czytała wam, ojczu, głośno.

Stary się córce nie sprzeciwił. Wkrótce do stołu podano. Lajosz przy obiedzie opowiadał o braciach Szturach i o tem, jakie to znaczenie ma słowo ojczyste drukowane.

— Przez to tylko, żeśmy do dziennika własnego doszli — mówił — dokazaliśmy tyle, jakbyśmy z Madiarami bitwę wygrali.

— Z Madiarami? bitwę? — zapytał stary.

— To się tak mówi. Spór z nimi o prawa nasze toczymy i w sporze tym stanowisko-śmy zajęli. Już nas oni nie zepchną.

— Nie mów ty tego — odrzekł Janosz. — Myśmy także pod Austerlitz stanowisko byli zajęli, a przecie nas Francuzi zepchnęli. Staliśmy pod laskiem, pamiętam. Tak lasek, a tak my... pułk cały, kaizer-huzary, *b... terem-tischen!*... — wymówił z przyciskiem — szwadron nasz na skrzydle prawem, przed nami kanony. Zrobiliśmy *rechts-um*; patrzynymy.

I rozpowiadać począł. Lajosz go z uwagą słuchał. Stary rozpowiadał, rozpowiadał; po obiedzie z gościem do sadku wyszedł i opowiadanie, wino z wodą kwaśną popijając, ciągnął dalej. Wpadł na materiją o koniu swoim—rozrzewnił się. Lajosz nad wieczorem dopiero pożegnać go mógł i, kiedy odszedł, stary do córki powiedział:

— To rozumny... rozumny człowiek. Poproszę, ażeby przyszedł niedzieli następnej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JOANNA CARLYLE.

Człowiek sławny, pisarz potężnego natchnienia wzbudza zawsze, wraz z uwielbieniem dla swego geniuszu pewnego rodzaju ciekawość. Ludzie radzi są zbliżyć się do niego, aby widzieć, jak ta wyjątkowa organizacja obraca się wśród pospolitych warunków istnienia, i dom wielkiego człowieka zdaje im się być jakgdyby Olimpem jakimś, gdzie życie musi płynąć w piękności, godności wyższej. Tak-by być powinno przez nieśmiertelny nasz ideał dobra i piękna, w mądrość wcielony, i prawie przypuścić nie można, aby wielki talent nie dawał zarazem wielkiego charakteru, nie czynił z człowieka istoty wyższej, która może być niepraktyczną w drobnych życia sprawach, może być wśród nich nieradną, nawet nieudolną, ale w uczuciach swoich, w tem, co jest stosunkiem ludzkiego ducha do ludzi innych tylko wzniosłą, tylko szlachetną i sprawiedliwą być musi. To też Anglia, i nie sama Anglia tylko, doznaje obecnie bardzo niemiłego rozczarowania, czytając kolejno wychodzące dzieje domowego, rodzinnego życia Tomasza Carlyle, które przyjaciel wydaje z papierów, listów, pamiętników przez samego Carlyle'a mu powierzonych, a z których powstało pięć tomów, z jednej strony budzących w czytelniku interes bardzo gorący, z dru-

giej odkrywający mu tajemnice takich rzeczy smutnych i przykrych, a nawet okrutnych, że czasem czytanie staje się niemal udręczeniem.

Czytelnicy naszego pisma przypominają sobie może, z powodu śmierci Carlyle'a w 1881 roku umieszczone o nim wspomnienie, w którym żona jego zajmowała miejsce bardzo znaczne. Osobistość to była sama przez się niepospolita, a jako żona — niesłychanie oddana mężowi, poświęcona żona wielkiego człowieka, wzbudzająca jakoby wdzięczne uwielbienie angielskiego ogółu. Wszyscy wiedzieli, że Carlyle był milczący, mało towarzyskiej i posępnej nawet natury, wiecznie chory, wiecznie migrenami dręczony, dziwak nareszcie: więc też życie obok niego pędzone, ani szczególnie miłem, ani wesołem być nie mogło i kobieta w takich warunkach nieschodząca nigdy ze stanowiska, nietylko najsurowiej pojętego obowiązku, ale niewyczerpanej dbałości i troskliwości o męża, była przedmiotem czci wszystkich. Uważano ją za tę stałą, wierną w uczuciach swoich kobietę, która umie poprzestać wyłącznie na szczęściu serca, i dla tego szczęścia, przez to szczęście wszystko inne znieść, wszystko inne poświęcić, może. Było też dość tego, aby wzbudzała wyższy szacunek, aby ojczyzna jej była dlań wdzięczną, iż się poświęca dla tego człowieka, który jest jedną z jej sław niepospolitych, i nie dziwono się wcale, że mąż po jej śmierci jeszcze ciężiej sępnął, że żal po niej wyraził kilkakrotnie w słowach pełnych bolesnej goryczy, ale dopiero zgon jego zdjął pierwszą pieczęć z sekretu, który w całości występuje na jaw z ostatnią, a świeżo wyszłą publikacją: trzema tomami listów i pamiętnikowych zapisek owej dobrej, poświęconej żony. James Antoni Froude, historyk, będący blizkimi węzłami literackiej przyjaźni z Carlylem złączony, otrzymał przez testament przekazane mu papiery i spowiedź jego, z nakazem ogłoszenia wszystkiego drukiem, gdy raz piasek zostanie mu nasypany na oczy. Froude, choć mu z tego zarzut czynią, spełnił tę ostatnią wolę zmarłego i okazało się naraz, że to był człowiek srogi, egoista zimny, despota okrutny, a nieszczęśliwa kobieta, dzieląca z nim życie, umarła śmiercią niemal męczennską.

Pierwsze dzieło tej pośmiertnej publikacji: *Reminiscences*, wydane w 1882 roku, w kilka miesięcy po śmierci Carlyle'a, wywołało przeciw zmarłemu oburzenie w całym czytającym, a zwłaszcza naukowym i literackim świecie angielskim, bo były to sądy o ludziach i dziełach pełne jadu i złośliwej krytyki, surowe do niesprawdliwości, wszystko na złe sobie tłómaczące, niewyrozumiałe i jednostronne. Człowiek ten, który tylko siłę cenil, i wielbiciel Fryderyka Wielkiego, postawił ją przed prawem, z szorstką ostrością sądził wszystkich, z którymi się spotykał, i zapisywał to w pewnego rodzaju pamiętniku, gdzie składał rozmaite wrażenia swoje, niewypowiedziane nikomu, bo ten człowiek nigdy w domu swoim nic nie mówił, i żonie dawał dziennie towarzystwa swego pół godziny czasu, co było przez męża postanowionem i urzędownie u tego domowego ogniska przyjętem. *Reminiscences* odjęły Carlyle'owi małą liczbę przyjaciół, jaką posiadał, a zniechęcały tak wszystkich, że odbiło się to nawet na gorąco zrazu podjętem przedsięwzięciu wzniesieniu mu pomnika a sama ta rzecz, że żądał wydania pamiętników swoich, pisanych tak szorstko, wydało się brutalną zachwalością, która obrażała. Ale wydawnictwo nie mogło zostać zawieszonym, i wytworzyło ze wspomnień zapisanych przez Carlyle'a, dwa dzieła: *Tomasz Carlyle, historia czterdziestu lat jego życia; Młodość Tomasza Carlyle, aż oto z kolei przyszły trzy tomy Listów i wspomnień Joanny Welsh-Carlyle* i tu ludzie zostali przejęci nietylko ciężkim żalem nad ofiarą tego dzielnego człowieka. Bo to on sam te papiery żony swojej w obce ręce oddał; on sam odkrył przed światem posępną tragedię, której był okrutnym bohaterem — sam, osobiście ułożył całość z listów, z pamiętnikowych notatek nieszczęśliwej i uzupełnił objaśnieniami, w których nie oszczędza się bynajmniej. Był srogim w taki a taki sposób, był tak a tak niemilosierny; nie kochał i nawet litościwym być nie

umiał, męczył, dręczył, obarczał nad siły — co wszystko wypowiada z dziwną surowo-poną szczerością w słowach tej wymowy namiętej, jaką zwykle odznaczał się styl jego. I dlatego wszystkiego ma on jedną, jedyną wymówkę, jeden tylko punkt obrony i usprawiedliwienia, że nie widział, nie uważał, nie miarkował...

Żył w oderwanym świecie myśli swoich i idei; egoista, spokojnie niedbały o istotę żywą, którą przy boku swym więził. Despota, czyniący zawsze zadość chceniom własnym, nie widział, nie uważał nic, co wychodziło poza obręb jego osobistości, jego interessu, z którego wytwarzał innym ciężar śmiertelnie przygniatający. Wśród świata ludzi żywych, nie poczuwał on się nigdy do żadnego obowiązku miłości, tkliwości jakiegokolwiek tak, jak wśród świata idei pisarz nie umiał sobie wydobyć z serca najmniejszego współczucia, najmniejszego pożałowania dla cierpienia, czy ludzi, czy narodów. Sympatye jego były w całości po stronie takiej energii bezwzględnej, takiej siły dzikiej, która do celu swego kroczy wprost, depreczając co na drodze się znajduje. Gdy jednak światło zapoznać się nie dające, uderzyło go w oczy, które musiał już wtedy otworzyć, szorstki samolub uczuwa nagle wyrzuty sumienia, przenika go zgryzota i nakłada na siebie pokutę, jakgdyby średniowiecznych grzeszników: czyni spowiedź publiczną — stawia się pośmiertnie pod pręgierzem opinii publicznej.

Wielu krytyków widzi w tem tylko pychę i zachwalość. Tak oto działa się w kole jego otoczenia i on, który nigdy nie dał nikomu sympatyi tkliwej, nie żąda jej też od ludzi dla pogrobowej pamięci swojej. Okrywa tajemnicę swego życia i daje tu taką prawdę nagą i bez osłon żadnych jak nago i bezwzględnie żadnego wydał światu sądy o ludziach, z którymi w ciągu życia się stykał. Kto zna *Reminiscences*, prawie musi być tego zdania: ten egoista zimny i wyniosły, nie chciał, aby cokolwiek, co jego dotyczy, zostało unieromionem odjętem jego postaci, dla której pragnął nieśmiertelnienia całkowitego: — Jestem, jakim jestem!... zdaje się mówić do ludzi z pamiętników swoich, i z pamiętników biednej kobiety, którą sobie dla celów swoich z zimną krwią pochwylił i trzymał potem przykutą na obroży niewolniczej. Ale jest w tej ujemności wyniosłej pewna wielkość oryginalna, z której wywiązuje się silna, pociągająca atrakcja, budząca zarazem smutny interes dla losu jego ofiary. Wzięta oddzielnie, Joanna Carlyle jest również postacią niepospolitą, pełną siły i piękności ducha, ale postawiona obok niego, w posępnym cieniu, który powstać jego na nią rzuca, tworzy razem z nim historią tak tragiczną, jakgdyby ją pomyślał Eurypides na podstawie rządów ślepego Fatum.

Carlyle był Szkotem, ale saxońskiego pochodzenia, z tych nizin południowo-zachodniej Szkocji, gdzie żywił obcy wtargnął i osiedlił się najęściej, walcząc potem zapamiętale z prawowitymi dziedzicami gruntu, ze szczerem galijskim, który w Górnej Szkocji i na jej wyspach przechodził się tylko w pierwotnej swej czystości. Ten to obcy żywił nizin szkockich dostarczył potem namiętego kontyngensu dla purytańskiego kalwinizmu reformatorów religijnych i ostatecznie zwyciężył tą bronią ducha Szkocji w jej narodowej dynastji Stuartów. Carlylowie należeli do tego właśnie zastępu Purytanów szkockich, ludzi twardych, gwałtownych i posępnie pobożnych; ojciec Tomasza, Jakób Carlyle, był murarzem w małym miasteczku Ecclefechan: zamieszkiwał dom, który sobie sam własnymi rękami zbudował, ale rodzina była wieśniacza, chłopska. Trzech braci Jakóba Carlyle mieszkalo z nim pod jednym dachem, z tych dwóch trzymało się jeszcze roli, uprawiała grunta podmiejskie, bo i miasteczko było też podobnie, jak to jest u nas, rolnicze. Murarz, który był w tym domu Carlyle'ów bratem najstarszym, miał dziesięcioro dzieci: Tomasz, syn pierwotny, przypominał ojca charakterem i twarzą; krępy, silnie zbudowany, miał czoło bardzo niskie, ale szerokie i wystające naprzód, włosy twarde stały uad niem jak szczotka, oczy były głęboko pod niem umieszczone, przenikliwe i ostre w wyrazie. Usta duże, linii surowych, broda wydatna porastała włosem także twardym, co wszyst-

ko razem tworzyło brzydotę z charakterem jednakże uderzającym siłą i zacięciem namiętnem. Ojciec był takisam zupełnie i syn pisze o nim, że dzieci bały się go kochać. Murarz ten, miał wedle wyrażen syna „serce zamrowane“; skłonnością jego było milczenie, nie rozmawiał nigdy z żoną, z dziećmi, lecz jeżeli, gdy bracia zeszli się do niego, rozgadał się raz, była to wymowa potężna, pełna metafor oryginalnych, i syn porównywał styl ojcowskiego języka do Homerowskiego stylu, przez energią swoich surowych porównań. Gniew był u tego człowieka gwałtownym, charakter posępny i twardy, zamknięty w sobie, a obraz natury ojcowskiej tak odpowiada naturze syna, jakgdyby to był jego portret moralny. I tam musiał też tkwić w duszy zimny egoizm i despotyzm, uginający wszystko pod kamiennym młotem swojej woli, bo żona, która była zwykłą kobieciną wesołego usposobienia, około pięćdziesiątego roku uległa pomieszeniu myślowi. Obląkanie było gwałtowne, wymagające zamknięcia, a choć wyleczono ją, pozostała zawsze dziwaczką, wpadającą czasem w nienaturalną wesołość, w śmiech nienaturalny. Synowa tej wariatki, która się śmiała w napadach szału, miała snać mocniejszą organizacją mózgową i nie zwaryowała, tylko umarła z wyczerpanością, z braku sił, a może i chęci do życia.

Tomek Carlyle, jak go zwano wtedy w Ecclefechan, zaczął naukę w szkole miejskiej. Chodził do niej nieraz bosy, oszczędzając butów, które kładł dopiero w pobliżu szkoły. Schodził nieco na bok, siadał na kamieniu i obuwał się.

Uczył się bardzo pilnie, ale nie celował między kolegami. Nie miał szybkiego, żywego polotu myśli, który jest na to potrzebnym. I on już zaczął być tak, jak ojciec, milczącym i posępnym; przetrwał wrażenia w sobie, i nie lubił dzielić się nimi z nikim. Ojciec przeznaczył go oddawna na księdza; jest to podobnie jak u nas, jak wszędzie, marzeniem wszystkich ambitnych rodziców wiejskiego, lub małomieszczkańskiego stanu, ale w Szkocji — w Szkocji Niższej, stanowi to tradycją starą między ludem purytańskiego wyznania, zwłaszcza w rodzinach licznych, zwykle postanowionem bywa, aby jedno dziecko, syn najzdolniejszy został oddany na służbę Bożą. Czyni się w tym celu największe oszczędności, znosi się brak wielu rzeczy najpotrzebniejszych, spożywa się nieraz chleb suchy, aby cel osiągnąć. W czasach Carlyle'a dokonywało się to z prostotą surową. O zapadającej jesieni wyrostek szedł do uniwersyteckiego miasta pieszo, co wieczór prosząc gościnnie o nocleg u dobrych ludzi, którzy wiedzieli, jakiego to rodzaju jest ta młodzież podróżna, i której też dawano chętnie najpróżniejszą wieczerzę, która się spożywała z tejsamej, co rodzina misy, potem pęk słomy czy siana gdzieś na strychu, lub w stodole. Młodzieniec, wstając równo ze słońcem, znajdował też najczęściej naszykowaną już dla niego kromkę chleba i krajanek sera; jeżeli gospodyni była kobieta tkliwego serca, lub miała syna w położeniu podobnem, towarzyszył temu kubek gorącego mleka, i chłopak wędrował tak od wsi do wsi, czasem tygodnie całe, nieraz spotykał na drodze podobnego mu wędrownego studenta i droga się odbywała razem. W mieście najmowano sobie jaki taki kąk na poddaszu, i to stanowiło niemal jedyny wydatek, na który trzeba było wydać grosz gotowy, bo furmani przybywający ze stron rodzinnej wioski, przywozili młodzieńcowi od czasu do czasu zapasy spożywcze: worek kartofli, woreczek kaszy owsianej, pasek słoniny i faszeczkę solonego masła, do czego dodawany był nieraz jakiś przysmak: suszony owoc, baryłka owczego sera, upieczony przez matkę świeżo placek. Furman zabierał też do domu brudną bieliznę studenta i część garderoby, potrzebującą naprawy, a zapowrotem przywoził te całe i czyste, i tak upływała zima. Z wiosną studenci powracali do domów, jak ptaki wędrownie. Brano się do pracy z siekierą lub kosą w rękę, idąc za pługiem lub broną, czy na folwarku ojcowskim, czy najmując się w okolicy, aby zarobić sobie grosz jaki na książki i łojówki, przy których miano je studyować: i w taki to sposób, ucząc się przez sześć miesięcy zimowych, a pracując jak prosty parobek lub czeladnik rzemieślni-

LISTY J. I. KRASZEWSKIEGO Z MAGDEBURGA.

V.

niczy, przez drugie sześć, dobijano się w świecie stanowiska i wychodzono niejednokrotnie na ludzi. U nas coś podobnego przedstawiały żaki krakowskie i Carlyle tą drogą wybił się na wierzch. Niemając jeszcze lat czterystu skończonych, puścił się na takie życie zebranej nauki do Edinburga, *humaniora* skończył przeciw ze sławą niebardzo dobrego ucznia; nauki matematyczne i historia były jego polem największego powodzenia, że zaś teologia, do której przeznaczała go wola ojca, okazała mu się wstrętną, porzucił ją rychło. Ani prawo, ani medycyna nie miały też dla niego siły pociągu, próbował wszystkiego, lecz przy żadnym z tych przedmiotów nie utrzymał się stale, posępny, nie towarzyski, był nielubianym od profesorów, od kolegów stronił sam, aż w końcu spotkał pomocną rękę przyjaciela. Irwing Edward wynalazł mu jakieś zajęcie, chroniące go przed biedą materyjalną, i chciał obronić go również od nędzy moralnej, która już wtedy dokucała mu zaczynała. „Żyłem samotnie—pisze Carlyle o tych czasach—pożerałem własne serce, łup dla walk bez końca i cierpień, niemających w języku ludzkim nazwiska, a których przerażające uczucie zachowałem do tej chwili.“ Był to zamęt, przez jaki przechodził często młodość w położeniu podobnym, ale on samolubnie w siebie wpatrzony, podnosił to sobie do potęgi i we wspomnieniach swoich nazywał to torturami lat młodości swojej.

Mimo nieregularności studyów, uczył się wiele i wiele nauczył, ale nie wiedział jeszcze jaką drogę obrać, czemu się oddać, przebywał walki ducha, jakgdyby próbującego się w ciemności, a przytem zaczął już cierpieć na zdrowiu. Żył bardzo nędznie, był niezmiernie niepraktyczny, doznawał niepokonanych wstrętów do konieczności życia najprostszych, a przytem najdrobniejsza przeciwność przybierała w oczach jego rozmiary doświadczeń mężeńskich, jak zwykle bywa u egoistów, których cała troskliwość serdeczna na siebie się skupia i sobą zajmuje. Gorąca wyobraźnia, namiętne burzenie się despotyzmu, który nie mógł nakazać ludziom i rzeczym posłuszeństwa i musiał się rozbijać o przeszkody powolnie wyrabiającej się drogi życia—grały też tu swoją rolę i Irwing stał się dla niego pomocą zbawiającą przed śmiertelnym zatruciem gorączką, która już napełniła mu serce. Przyjaciel, oprócz zapewnienia mu wygodniejszych warunków bytu, chciał jeszcze obłaskawić jego dziki humor, chciał przyswoić go towarzystwu ludzkiemu i wprowadził go do domu Joanny Baille Welsh. Panna była przesłiczna, bogata, posiadała wykształcenie bardzo wysokie i rzadkie u kobiety, przytem wielką żywość i wdzięk nieprzeciętnej powabu. Brunetka, z białą płcią matową, miała przytem w wielkich czarnych oczach często błyskający ogień ponętnej figlarności—była wesołą, jak biedna żona murarza z Ecclefechan, którą trzeba było zamykać w szpitalu waryatów.

Miniatura pozostała po niej z tego czasu, który był samym rozkwitem szlachetnie rozwijającej się młodości, pokazuje piękność skończoną, doskonale regularnych rysów. Usta śliczne, malutkie i purpurowe, rozchyła na tej miniaturze uśmiech powabny; głowa, jak wedle modelu artysty, nieco w tył cofnięta, umieszczona jest na szyi łabędziej, to jest jak u łabędzia ukształtowanej do wdzięcznego ruchu przez swoje przedłużenie klasyczne. Kibić miała być również wedle znaną Carlyle'a powiewną, chód lekki, jakgdyby zaledwie dotykał ziemi, a śmiech nieporównany. Carlyle studyował śmiech i sądził wedle niego o ludziach i rassach. Ojciec jego mimo wielkiej inteligencji i wrodzonej szlachetności, śmiał się zawsze „jak murarz“, on sam miał śmiech mało przyjemny, niższego gatunku. Joanna „śmiała się cudownie“.

Kiedy Carlyle poznał ją, piękna panna już kochała i była kochaną — serce jej było złączone z sercem Irwinga.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Hans Makart zmarł prawie nagle w sile wieku, w chwili, kiedy zadziwiający jego talent, rozwijając się, nabierał głębokości, dojrzałości i pełni. Zmarł wyczerpany ciągłą pracą i tem życiem artystycznym, które pędził w ponurem odosobnieniu się od świata. To zamknięcie się w sobie wobec wielkiej masy ludzi, było znamieniem jego charakteru; ale nie przeszkadzało mu ono czuć, płonąć i—trawić się ustawicznie. Francuz powiedziałby o nim: *Il brulait sa chandelle par les deux bouts*. Makart, niezmordowany w pracy, która stała się dla niego duchową koniecznością życia, drugą niejako naturą, był również nienasyconym w łaknieniu wrażeń: uganiał się za wszystkim, co piękne, świetne, oddźwięczające pięknu i świetności; dawał festyny wspaniałe; przesiadywał nieraz do rana z przyjaciółmi przy kufelku piwa—a wszystko to tylko dla tych nowych wrażeń, których ciągle potrzebował.

Silny temperament długo opierał się podwójnej gorączce: ducha i zmysłów; ale w końcu życie w taki sposób musiało zabójczo oddziaływać na organizm.

Urodzony w Salzburgu, jak Mozart, zarówno w samym nazwisku swoim, jak w talencie, ma pewne do niego podobieństwo, a ta główna między nimi zachodzi różnica, że wielki muzyk miał czas i możność do osiągnięcia dojrzałości, do pracy prawidłowej, mniej był wystawionym na marnowanie swych sił i dzieła swoje do miary geniuszu swego zastosowywać umiał, a Makart tymczasem umierał jak marnotrawca, który lepszą połowę darów swoich roztrwonil i wydał na pastwę artystycznych fantazyi.

Zarzucają mu brak powagi i głębokości. Dzieła jego są świetne, zachwycają wzrok, lecz nie czynią zadość wymaganiom surowej krytyki. Nie ma co mówić: jest wiele prawdy w tych oskarżeniach; ale Makart samym tylko kolorytem swoim, który był jego własnym a niezrównanym, zdobył sobie między malarzami XIX wieku miejsce, którego nikt zaprzeczać mu nie zechce. Wreszcie ostatnie jego obrazy zapowiadały niejako nową fazę w rozwoju talentu.

Od „Zarazy florenckiej“ do „Polowania Diany“ postęp jest widoczny, a nie takiego coby wskazywało upadek. „Katarzyna Carnaro“, „Wjazd Karola V do Antwerpii“, pozostaną niezrównanymi przez czarodziejstwo swego kolorytu.

Koloryt ten ma już swą szkołę i można wykazać wpływ, jaki wywarł na młodych współczesnych pracowników na polu malarstwa. Widzieliśmy obrazy tak doskonale naśladowujące styl kolorystyczny Makarta, że można je było uznać za oryginały zmarłego artysty. On sam koloryt ten stworzył: inni go tylko więcej lub mniej szczęśliwie naśladowali.

Koloryt, którego się nauczyć można, jest zupełnie czemś innym, niż koloryt wrodzony, wynaleziony, nie przez uczone kombinacje, ale przez instynkt, przez uczucie mimowiedne a bez zawodu wiodące do piękna.

Wiedeń, którego dziecięciem przybranem stał się był artysta, cały, jak jest, wyłegł na jego pogrzeb, płakał szczerze i po bolesnej stracie nie starał się pocieszyć. — Pomiędzy artystą a miastem, które tak ukochał, istniały węzły ścisłe, pokrewieństwo jakieś, sympatya, tak rzadka w życia artystycznym. Makart był Wiedeńczykiem do szpiku kości: charakter, obyczaje, wybryki, pewna miękkość, zamiłowanie w przepychu i pięknie: wszystko to miało wspólne z Wiedniem. Miał też tę samą uprzejmość dla blizkich tensam powab i tę samą słabość woli, która charakteryzuje Wiedeńczyków.

Wspaniałe było *atelier* Makarta. Mieliśmy sposo-

bnosć zwiedzać je niejednokrotnie. Są z niego bardzo dobre fotografie Angerera. Przybytek ten pracy artystycznej jest tak wspaniałym, że należałoby go na pamiątkę zachować i nie pozwolić na to, aby się te bogactwa, ułożone w żywy, rzeczywisty obraz, rozproszyły. Rodzina artysty nie jest bogatą i będzie zapewne musiała sprzedać pracownię. W summie 250,000 guldenów, które Makart zostawił, mieści się i wartość *atelier*, i musi nawet znakomitą część jej stanowić.

Artysta nie oszczędzał wcale pieniędzy, wydawał je nawet w sposób szalony. Tak np. rokrocznie urządzone w pracowni przyjęcie na imieniny kosztowało bajeczne sumy. Dawny służący a późniejszy oddźwierny tej wspaniałej pracowni, z guldenów, które na piwo dostawał, zebrał sobie podobno daleko większą fortunę, niż jego pan. Dopiero pod wpływem żony zaczął Makart gromadzić pieniądze; przed ożenieniem się nie miał nie prócz długów.

Główna pracownia, zapchana gobelinami, rzeźbami, wazami, bronzami i rozmaitymi starzyzną z różnych epok, pomimo tego skłócenia żywiołów swoich wyglądała bardzo malowniczo i pięknie. W miejsce schodów i rusztowań Makart do malowania obrazów zaprowadził sobie bardzo dogodny przyrząd, który pozwalał największe nawet płótno opuszczać i podnosić, uwalniając artystę samego od potrzeby zmieniania miejsca. A słynne makartowskie bukiety! Wspomnienie artysty nie da się już od nich odłączyć.

Krytyka nieprześlądana, surowa, będzie z zaciekleścią dowodziła, że Makart nie stał na wysokości swej sławy, że brakło mu owej powagi, głębokości, że rysunek jego często chromał, a kompozycje były bez żadnej idei. Wszystko to daje się powiedzieć, dowiedzieć i podtrzymać, ale jest jedna okoliczność, która z tem wszystkim zwyciężko walczy: oto sympatya, jaką umiał sobie zjednać, zajęcia powszechne utworami i twórczością,—czar, jaki artysta wywierał na publiczność.

Musiało być zatem życie, musiała być dusza w jego obrazach i musiała być przeciw jakiejś idee w sposób jemu samemu tylko właściwy wyrażane.

Przytem wszakże jedna smutna okoliczność występuje przed umysł, kiedy się pomyśli o Makarcie. Obrazy z tak olśniewającym kolorytem malowane są bez żadnej zgoła troski o trwałość. Przepojone sykkatywami i bitumem, zazwyczaj one już teraz pękać i czernieć; inne znowu, do których używał artysta farb lakowych, blakną. W takim wypadku znajduje się „Katarzyna Carnaro.“ W obrazie „Obfitości“ draperie różowe wszystkie już połuszczyły się i pokryły formalną siatką bezkolorowych, czarnych linii. Zniszczenie już je pożerać zaczęło.

W chwili skonu artysta zajęty był rysowaniem projektów ornamentacyi dla gmachów publicznych, któremi przyzodobił się Wiedeń. Mówią, że próby polychromii, którą do architektury zastosować pragnął, były znakomite.

Pod ilościowym względem spadek artystyczny, jaki pozostawia po sobie Makart, jest dość znacznym: nieboszczyk o ile nie żył, to ani chwili nie próżnował i ustawicznie tworzył. Zostawił po sobie prócz płócien wielkich portrety przepyszne, zostawił ilustracje, ze wszystkiego potrosze. Ostatnie jego dzieło było już prawie wykonanym. Przedstawił w niem kobietę u źródła podającą wodę rycerzowi. Pomysły tak proste, jak ten, wystarczały mu do wydawania arcydzieł. Ciało ludzkie, draperye, niebo, krajobraz: oto żywioły składowe jego kolorystycznych symfonii.

Książek nowych podostatkiem; ale przerzucawszy cały tuzin, jest się w wielkim kłopotcie, gdy się ma zdać sprawę z ich treści.

We Francyi, tak samo, jak i w Niemczech, jak już nieraz zauważyć było potrzeba, panuje i rozpościera się nowella, mała powiastka, małe obrazki, mające tylko te jedne pretensya, aby być malenkimi klejnocikami, dłutem snycerskiem z całą miłością wypieszczonemi. Niema prawie jednego większej wziętości używającego pisarza, któryby nie wystąpił od siebie z tomem nowelli. Mali i wielcy, zbierają swe felietony i wypuszczają je w świat. Wielkich romansów nowych wykazać nie podobna. Zola zapowiada i kończy już swój

przedstawia sliczny widok, oko przechodnia, z przyjemnością zagłębia się w ową cieniastą, miśtarnie wychylającą się zieloność, nadającą miastu pozór ogromnego ogrodu. Urządzenie takie domów bardzo jest przyjemne i praktyczne w lecie, daje każdemu sposobność spędzenia całego dnia na świeżym powietrzu, a przytem zapewnia nadzwyczajną swobodę i niezależność jednych od drugich, a że lato jest tu najdłuższą porą roku, słusznie się więc do niego stosują. W zimie za to przedstawia taki systemat wiele niedogodności, szczególnie z rozpoczęciem epoki słotnej, kiedy drzwi do przedsiieni trzeba koniecznie trzymać zamknięte: a wtedy nikt nie ma swego kąta spokojnego, wszyscy przechodzić muszą przez pokoje, jedni drugich, w razie zaś ciężkiej choroby staje się to nawet niebezpiecznym. Kominki zdobią salony i jadalnie, ale w innych pokojach śladów ich nie ma; nieraz też zimno dobrze dokucza.

Jesteśmy w drugiej połowie Maja, a zatem na początku zimy, która się rozpoczyna na dobre przy końcu tego miesiąca i trwa przez Czerwiec, Lipiec i Sierpień. Powiadają mi, że śnieg nigdy nie pokrywa ziemi, chociaż spadnie, to odrazu topnieje. Najprzykrzejszą epoką są miesiące dżdżyste przy końcu jesieni, poprzedzone szalonymi wiatrami zwanymi „pamperos“, które tu many kurzu i piasku ze stepów przynoszą, wysuszając i paląc wszystko, co tchnieniem swoim objęły.

Dom zamieszkały przez nas nie jest w stylu tutejszym; wystawiony przez wzbogaconego Francuza, który już wrócił z pełnymi kieszeniami do Francji, posiada wszelki komfort domów europejskich. Zbudowany o dwóch piętrach, dach ma płaski, a z wysokiej jego platformy możemy widzieć całą okolicę. Stoi wśród ogrodu schodzącego z jednej strony obszernymi stopniami do samych prawie brzegów rzeki. Jesteśmy tu podwójnie odosobnieni, bo mieszkamy za miastem, w miejscowości, do której wprawdzie tramwaje dochodzą, ale bardzo oddalonej i odludnej. Obecnie nie jest to rzeczą bynajmniej pożądaną, bo Buenos-Ayres przechodzi przez takisam przełom gorączkowy, jak Montevideo: obiera sobie prezydenta. Wybór ten nie powtarza się corocznie, gdyż urząd trwa tu przez sześć lat, a po wyborach kraj ma zapewniony spokój na takisam przeciąg czasu; w tej chwili jednak umysły są bardzo zaniepokojone, a nikt nie robi sobie złudzenia, że cisza, która od kilku tygodni panuje, jest tylko pozorną, że się partye przyczaiły i obliczając i skupiając swe siły, przygotowują się do zaciętej walki.

Na nieszczęście nasze, część miasta, w której bliskości mieszkamy, okazała się dogodnym polem do działania dla obydwóch nieprzyjaznych obozów, i z dwóch stron zaczynają stawiać barykady: będziemy więc w podwójnym ogniu. Z platformy doskonale śledzić możemy postęp robót i niezmiernie nas to gniewa, że na ten użytek scinają pyszne drzewa zdobiące drogi, a jeszcze więcej oburza nas to, że ci sami robotnicy, którzy w dzień pracują, zakradają się w nocy, i burzą zbudowaną barykadę, ażeby drzewo grabić i do domu zanościć.

II.

Walki polityczne.—Przeszłość Rzeczypospolitej.—Prezydent Avellenada.—Namiętności wyborcze.—Walka w mieście. — Ogień armatni. — Popłoch.—Bitwa pod miastem.

Walka tocząca się tu obecnie nie jest prostem dla osobistych widoków ścieraniem się dwóch stronictw o lepsze w wyborze prezydenta. Naród tutejszy ma szersze i szlachetniejsze poglądy, od sąsiednich mu Stanów Urugwaju, a Buenos-Ayres nie jest, jak młodszy jego siostrzan, Montevideo, gniazdem rezolutych awanturników. Chodzi tutaj o przeprowadzenie zasady i uregulowanie stosunków pomiędzy rozmaitemi prowincjami państwa. Jedni chcą centralizacji władzy, a drudzy, przeciwnie, zdecentralizowania jej; każda partya po-

piera swego kandydata mającego wiarę w wybranie jej opinii politycznych.

Rzeczpospolita Argentyńska jest państwem zupełnie młodem, zaledwie wyszłem z lat dziecięcych, nie miała jeszcze czasu przetrwać praw i konstytucji, które sobie przyswoiła. Początek państwa tego był taki:

W roku 1535 zawitała pierwsza wyprawa przez Hiszpanią na brzegi rzeki La Plata, w celu wyszukania przez tę rzekę i wpadające do niej inne, komunikacji z bogatym i złotodajnym Peru, z kąd czerpała wówczas metropolia niesłychane bogactwa. Odkrycie tej drogi i ustanowienie stałej komunikacji byłoby ułatwiło owiele i skróciło żeglugę na Ocean Spokojny, nad którym leżały najbogatsze prowincje tak zwanych Kolonii Hiszpańskich. Droga ta, do dzisiejszego dnia nie wynaleziona, zmusza okręty do objeżdżania przez Cieśninę Magelana, dopóki Kanał Panamski nie zostanie otwartym.

Mendoza była na czele pierwszy tej wyprawy, która liczyła trzy tysiące ludzi, ale się zupełnie nie udała: statek uległ rozbiciu, a podróżni, rzucając na ląd w miejscu, gdzie dziś istnieje miasto Buenos-Ayres, wszyscy z głodu powymierali. Prawdziwym dopiero założycielem miasta był w pięćdziesiąt lat później Juan de Garay, dowódca innej wyprawy, również chybionej, który w roku 1582 tu przybył i potrafił skorzystać z zasobów pozostawionych przez Mendozę. On pierwszy dał początek dzisiejszemu miastu Buenos-Ayres, wkoło którego wkrótce wzniosły się inne osady; stanowiły one później jedną z licznych prowincji Kolonii Hiszpańskich. Dopiero w 1770 roku w 200 lat później zostaje owa prowincja podniesioną do godności vice-królestwa, a w roku 1812, wybiwszy się na niepodległość za czasów Wojen Napoleońskich, przybiera z początku nazwę Stanów La-Plata, a ostatecznie Rzeczypospolitej Argentyńskiej.

Nowo założone miasto, nad rzeką spławną, w bliskości morza, do którego największe okręty wprost z Oceanu dopływać mogły, w glebie żyznej i lesistej, mając wszelkie warunki potrzebne do utworzenia zasobnej kolonii, wkrótce, nietylko samo wzrosło, ale wkoło niego utworzyła się cała prowincja tegoż nazwiska, stosunkowo ludna mająca miasta zasobne, w której handel i rolnictwo prędko się rozwinęły. Otóż ta prowincja ze swoją stolicą, stanowiąca jakby przednią straż cywilizacji, powoli podbiła i zabrała sąsiednie prowincje, znacznie mniej od niej rozwinięte, zachowała, naturalnie, nad niemi pierwszeństwo i przewagę moralną, będąc prócz tego rzeczywiście o wiele silniejszą, bo sama jedna liczyła dwa razy tyle mieszkańców, ile ich przedstawiała cała ludność reszty państwa, czyli trzynastcie pozostałych prowincji. Dziś prowincje te także się podniosły, wyrobiły i wzbogaciły inie chcą się dłużej poddawać przewadze starszej siostry; pragną na równi z nią współubiegać się o zupełną równowagę i wpływ w sprawach państwa.

Przez wybór ostatniego czyli obecnego Prezydenta Doktora Prawa, Avellenady, równowaga ta ustaliła się już *de facto*, bo Doktor Avellenada był kandydatem przeciwstawionym przez prowincje północne dwom innym kandydatom, popieranym przez Buenos-Ayres.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Na zimowy kurs pszczolnictwa przy Muzeum Pszczolniczym na Koszykach zapisało się uczennice 23. Kurs ten rozpoczyna się z dniem 1-m Listopada a trwa do 1-go Maja, oprócz nauki wyrobienia uli i przyborów pszczolarskich, odbywać się będą trzy razy na tydzień wykłady teoretyczne, zastosowane do różnych systematów uli: w niedzielę od godziny 12 do 2-jej, w środę i w piątek

od godziny 6 do 8-jej wieczorem. Z pierwszym wiosennym oblotem pszczoł rozpoczyna się kurs drugi, praktyczny z codziennem zajęciem w pasiekach, trwa on do miesiąca Września i kończy go examin. Osoby pragnące pozyskać fachowe wykształcenie pszczolnicze powinny przebyć oba te kursa, aby umiały, nietylko prowadzić gospodarstwo pszczolne w ulach już urządzonych, ale w ulach wszelkiego systematu, a następnie przeprowadzić roje do uli, obecnie używanych: ramowych. Muzeum przyjmuje na stałe, to jest na kurs całoroczny praktykantów bez opłaty żadnej, i ci dostają przy muzeum pomieszczenie, z obowiązkiem wszelkie wypełniania wszelkich zajęć tak w wydziale pszczolarskim, jak i w warsztatach stolarskich muzeum i utrzymywania się własnym kosztem. Uczniowie i uczennice przychodnie opłacają za naukę, czy to roczną, czy czasową rs. 25 i tylko w razie niezamówienia i zamilowania okazanego przez troskliwe zajęcie się nauką, opłata ta zostaje zmniejszoną. Osoby nie mogące uczęszczać na kurs zimowy powinny wyuczyć się teorii z książki p. K. Lewickiego p. t. *Pszczolnictwo*, wydanej w 1882 r., ale z wiosną, gdy pszczoły ruszać się poczynają, należy im przybyć na naukę do Muzeum. Najważniejsza nauka jest w miesiącach Maj, Czerwiec i Lipiec. Osoby nie mogące przebyć całego letniego kursu w Muzeum, mogą przybywać co miesiąc na dni kilka w czasie najważniejszych zajęć pszczolniczych, a i tak nabyć mogą zasadniczych wiadomości w pszczolnictwie. Jednocześnie z nauką pszczolnictwa i za tąsamą już opłatą uczennice mogą się uczyć w chwilach wolnych od zajęć pasiecznych ogrodnictwa, warzywnictwa i kwiatarstwa, znajdując w parku Koszykowskim odpowiednio do tego urządzone pole nauki, to jest szkółki drzew, kwatery warzyw i kwiatów, oraz cieplarnie i inspekta. Wrazie dostatecznej liczby uczennic nabywanie wiadomości praktycznych zostanie poparte przez wykłady botaniki, zoologii, oraz rysunków.

— Rząd Rzeczypospolitej Chilijskiej poszukując nauczycielek dla żeńskiego seminarjum w Valparaiso zawarł w Wiedniu sześciolletnią umowę z posiadającymi odpowiednie kwalifikacje czterema tamtejszemi nauczycielkami, które wkrótce wyruszą w podróż. Pierwsza z nich, panna Adamek, obejmie miejsce ochmistrzyni, z roczną pensją 2,000 pesos, czyli 4,000 guldenów, oprócz najzupełniejszego utrzymania w instytucie i trzy inne: von Bleileben, von Keilchberg i Julia Kolar pobierać będą rocznie 1,000 pesos, także przy całkowitem utrzymaniu, Julia Kolar będzie uczyć kunsztownego haftu.

— Młoda Węgierka Wilma Parlaghy z Pesztu, córka tamtejszego urzędnika, przybyła przed trzema laty do Monachium dla kształcenia się malarstwie, które poprzednio uprawiała jako samouczek bez żadnej pomocy artystycznego kierunku. W Monachium udała się do malarza Kienbacha, który ją na uczennice swojej przyjął i nakazał jej studyowanie starożytnych mistrzów. Na przeszlorocznej Wystawie powszechnej wystawiła głowę mężczyzny, portret jednego z autorów, piszącego o sztuce, i kosz owoców pomieszanych z kwiatami, za co otrzymała medal złoty pierwszej klasy od towarzystwa: *Société scientifique Européenne*. Obecnie Wilma Parlaghy wykonała własny swój portret: całą postać naturalnej wielkości w białej atlasowej sukni. Kibić ujmuje w pasie złota przepaska, w ręku trzyma szuk mistrzyni podjęty z fotelu szal purpurowy w palmy, co razem ma tworzyć dzieło malarskie pierwszorzędного znaczenia.

— W Londynie zmarła w Clifton miss Sara Alleyne, znakomicie w rzeczach greckich wykształcona, tłumaczka z niemieckiego dwóch dzieł profesora Zeller: „Plato i dawniejsze Akademie“ „Filozofia przed Sokratesem.“ Oryginalnie napisała cenione w angielskiej literaturze dzieło „Historja Eklektyzmu.“ Nietylko posiadała wyższą wiedzę starożytności greckich, ale i język grecki studyowała głęboko. Gdy w czasach ostatnich wyższe wykształcenie kobiece rozwijać się zaczęło, miss Alleyne mizawała corocznie serye odczytów w przedmiocie historyi i nauki greckiej, i weszła do kommissyi *examina-*

cyjnej przy Uniwersytecie Oxfordzkim, który jak nam nadmienić trzeba, opierał się najbardziej nowemu prądowi wykształcenia kobiet, i dopiero w roku zeszłym przypuścił kobiety do słuchania studyów uniwersyteckich. Jedną z bardzo wysokich zasług zmarłej była jej szlachetna dobroczynność; w rodzinnym mieście swoim Clifton wznosiła wzorowe pomieszkania dla biednych, oddając na ten cel wszystkie swe znaczne dochody, pochodzące głównie z jej pracy. Zmarła miała lat czterdzieści parę.

— Mrs Speedy, żona komandora Speedy, który należał do orszaku admirała Hewett przy traktowaniach z królem Abissynii, towarzyszyła tam mężowi i porobiła cenne studia nad przyrodą Sudanu i płynącym tam życiem ludzi. Pani ta pisze obecnie dzieło w tym przedmiocie. Ilustracje będą wykonane według jej własnoręcznego, na miejscu dokonywanego rysunku.

— Zmarła w Cassel hrabina Boss, zapisała Uniwersytetowi Berlińskiemu 780,000 marek na korzyść ubogich studentów medycyny. Zapewniła wioskowi pomocy lekarskiej, uważała zmarłą za jedno z największych dobrodziejstw cywilizacji i ta myśl kierowała jej ostatnią wolą. Pierwszeństwo w stypendyach z jej zapisu powstałych mają ci ze studentów, których zamiarem jest praktykowanie następnie powsiach i małych miasteczek.

DROBNE LISTKI.

— **Nowe spirytystyczne medium** grasuje obecnie w Londynie i to w sferach tak wysokich, że zmarły syn królowej, książę Albany, uległ jego wpływowi, właśnie przed śmiercią. Aby być pewnym, że nie ulega złudzeniu lub zręcznemu oszustowi, książę kazał zrobić specjalnie urządzonego dębowa podwójną ekierkę, w bardzo sztucznej i mocnej oprawie brązowej, która zamykała się na najlepszy patentowy zameczek indyjski „Bramah lock“. Tak zaopatrzony udał się królewicz do owego pośrednika duchów; umieściwszy sam przyniesiony ze sobą ołówek w ekierce, zamknął ją na kluczyk przyczepiony do zegarka i położywszy na widoku oczu swoich na pobliskim stole, zażądał przyzwania ducha, który też dał mu zaraz znać o sobie, bo wkrótce usłyszano szelest piszącego po drzewie ołówek, i gdy książę własnoręcznie ekierkę otworzył, ujrzał ją zapisaną—listem od nieboszczki księżny Alicji heskiej, najbardziej przez niego kochanej siostry. Daremnie tłómaczono księżciu, że medium mogło powziąć wiadomość o obstalowanej ekierce, mogło zaopatrzyć się w zupełnie podobną i usunąwszy zręcznie tę, którą książę na stole umieścił, podstawić inną, odpowiednio przygotowaną. Książę nie dał się przekonać, odbierał listy od ducha ojca, siostry, a że usiłowano go odciągać od tego, on w dzień nieszczonego wyjazdu do Cannes, w pół żartem, w pół seryo złożył ekierkę u księżny Walii i żegnając się powiedział, że gdyby przypadkiem umarł w drodze, da o tem znać za pośrednictwem ekierki. Lecz on, niestety, umarł, a jednak ekierka milczała. Księżna miała podobno wkrótce potem odbywać nad nią potrzebną formułę zaklęcia, przecież nadaremno.

— **Handel Japonii z Europą** dochodzi ogromnych rozmiarów. Samych wachlarzy wysłała Japonia do Europy: z portu Hiogo 2,647,966; z Osaka 166,645; z Kanagawa 1,919,840, czyli razem bli-

zko cztery miliony. Z dwóch ostatnich portów wysłano przytem 132,100 parasolek i 16,298 ekranów, co przecież nie wyczerpuje rzeczy, gdyż wysyłka porcelany, bronzów, mebli i drobnych mebelków też bardzo znaczna. Można też zrozumieć, że kompania japońska zbudowała w porcie Hiogo groblę żelazną, długą 450 stóp i kosztującą 100,000 dolarów, oraz cztery budynki na słady towarów.

— **Władze Nicei** i innych miejscowości na przestrzeni od Hyères do San-Remo, lękając się, aby obawa przed cholera nie zatrzymała zwykłych gości zimowych, zrobiły ogłoszenie. Ogłoszenie to podpisane zostało przez konsulów zagranicznych, że stan zdrowotności tych miejsc jest jaknajlepszy. W Biarritz sezon jesienny był świetny, wynagradzając za smutne lato, albowiem zwykły napływ Hiszpanów, odstraszonego przykrościami kwarantanny, nie dopisał w tym czasie.

— **Zatoka śmierci**, obraz Juliusza v. Payern, został obecnie wystawiony w Wiedeńskim Künstlerhausie. Przedstawia on ostatnie chwile tej nieszczęśliwej garstki żeglarzy z wyprawy Franklina, którzy umierali ostatni. Ciągnęli oni łódź swoją przez pięćdziesiąt mil geograficznych wskrós niezmiernych przestrzeni lodowego pola, i teraz oto poddają się już głodowi i zimnu. Siedmiu już straciło zupełnie siły, tak ciała jak ducha; ósmy, porucznik Crozier, wedle podania jedyny, który ma się uratować jeszcze, stoi na wystającym dziobie łodzi z wymierzoną strzelbą w rękę, aby strzelać do białych niedźwiedzi, które lup zwyższy, ukazują się. „Zatoka śmierci“ albo inaczej „Zatoka przerażenia“ „Terror Bay“, jak ją nazywają Anglicy, leży w pobliżu ujścia wielkiej rybnej rzeki, a którą komendant ostatniej wyprawy poszukującej Franklina, porucznik Schwatka, nazwał „Starvation Cove“ i Payer dołączył do swego obrazu szkic posępnego, przerażającego krajobrazu tej okolicy. Payer malował najwierniej łódź, ubiory nieszczęśliwych i ich narzędzia, wedle zebranych i przez dwie wyprawy poszukujące, Mac Clintock'a i Schwatki, do Anglii przywiezionych szczątków. A także użytkował on do swego obrazu uwagi i wskazówki, jakie Mac Clintock w opisie swojej wyprawy zostawił. Głowy kilku nieszczęśliwych malowane są z fotografii i popiersi, które synowica Franklina, Payer'owi udzieliła. Obraz przedstawia noc podbiegunową, oświetloną księżycem i „Zatoka śmierci“ jest obrazem, który wedle tych, co go widzieli, wywiera niesłychane, dusze ściskające wrażenie.

— **Pomnik Laube'go**, który wielbiciele jego talentu wzniesić mu chcieli na grobie, musi uleść zmianie, z mocy woli rodziny zmarłego. Wychowanka Henryka Laube, której tenże całe swe mienie zapisał, Kornelia Haas, podała do wiadomości publicznej drogą dzienników, że kamień, pokrywający grób rodziny, a w 1864 r. położony tam przez rodziców zmarłego po śmierci jego brata, Jana, nie może być ztamtąd wedle ich ostatniej woli, nigdy naruszony i można tylko wyręczyć dodatkowe wyrazy, poświęcone pamięci zmarłego. Jest to wielka, z ciemnego marmuru płyta, zupełnie gładka i bez żadnej ornamentyki, trzeba będzie tylko jej górny brzeg tak dłutem obciosać, aby popiersie, przez rzeźbiarza Tilgnera wykonane, umieszczonem tam zostać mogło.

— **Szkoła malarska w Peszcie** została w dniu 1 Października bardzo uroczyście otwartą. Malarz, wysoko w rodzinnym swym kraju ceniony, Juliusz Benzur, objął jej kierownictwo.

— **Gmach nowo utworzonej opery** w Peszcie zaliczyć się może do najwspanialszych teatrów Europy. Jest on zbudowany w stylu doskona-

łego renesansu i zajmuje 1,600 sążni kwadratowych, koszt budowy wynosi 3,000,000 guldenów i, jak opiewają gazety, Peszt zawdzięcza ten nowy swój teatr wspaniałomyślności cesarskiej. Miejsce stojących niema tu wcale; tylko łoża i krzesła, a raczej wygodne fotele. Parter ma ich 432, amfiteatr trzeciego piętra 700. Liczba trzema rzędami idących, obszernych łoż, jest 64, na które abonament natychmiast został rozkupionym tak, że szersza publiczność może korzystać z łoż tylko w dniach znoszących abonament. Sala jest cała trzymana w kolorach: purpurowym i cielistym ze złotem. Sufit ozdobił pędzel Lotz'a pysznem malowidłem przedstawiającym Olimp. Każdy rząd siedzeń ma swoje osobne wschody, wejście i wyjście, oraz własną kasę, co wszystko od ścisku broni, wygodę i bezpieczeństwo zapewnia. Istnieje przytem osobne zupełnie wejście dla królewskiego i dworskiego użytku i wie dzie ono przy niewypowiedzianym przepychu do paradnego salonu, który jest łożą królewską. Podtrzymuje ją rząd tak kunsztownie rzeźbionych dębowych kolumn, że stanowią one świadectwo niepospolicie rozwiniętej u Węgrów sztuki. Jeżeli nowa opera ma stosunkowo do swych rozmiarów niedosć miejsca, oddanego widzom, za to obszar zostawiony dla sceny jest kolosalny. Wewnętrzny obszar sceny stanowi regularny kwadrat mający osmdziesiąt stóp długości i szerokości i jest od tak zwanego zascenia, czyli tylnej sceny żelaznemi kulisami odgradzony. Scena posiada sześć przejść kulisowych, spoczywających na dwóch hydraulicznych prasach i ma 106 dekoracji. Pierwszy to teatr, który po okrutnem doświadczeniu, jakie przedstawił pożar wiedeńskiego Ringteatru odważył się przyjąć ten nowy system bezpieczeństwa, który wypróbować musi na sobie. Dolny fronton teatru zdobiją dwie nisze z posagami przedstawiające narodową muzykę węgierską w postaci Franciszka Liszta i Franciszka Erkel.

— **Jan Strauss** obchodził w dniu 15 Października swoje muzykalne czterdziestolecie. Dziełnastoletni młodzieniec na czele swojej własnej orkiestry wystąpił Strauss przed publicznością w 1844 r., w Kasynie Dommaeyrowskim, które wtedy było w Wiedniu jednym z pierwszorzędných miejsc zabawy—wystąpił przeciw woli ojca, nie chcącego widzieć go muzykiem, jako kompozytor i dyrektor. Początek ten był świetnie pomyslnym i od tego czasu ciągnął się dla ulubionego Wiedńczykom kompozytora jeden jakoby łańcuch tryumfów. A trzeba tu dodać, co pirze jeden z jego librecistów, Schitzer, że Strauss, mimo swego niesłychanie odważnego występu pierwszego, jest niezmiernie skromnej i więcej—nieśmiałej natury. Polemiki żadnej nigdy prowadzić nie chce, bo jest w jego naturze, że nie odstępkuje łatwo od swego przekonania. Do każdej rzeczy, którą tworzy, zapala się niezmiernie, ale gdy już raz stworzy ją i w ręce publiczności odda, rzecz mu się wydaje słabą, mało co wartą. Jokay do współki ze Schnitzer'em pisali mu text do jednej z jego pierwszych operetek: „Cygański Baron“.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 2-gi tomu II-go powieści pod tyt.: **Dwie**.

TREŚĆ. Emancypacja kobiet polskich w XV i XVI wieku, (dokończenie), przez Edwarda Lubowskiego. — Słowaczka (nowella), przez T. T. Jeża. Joanna Carlyle. — Listy z Magdeburga V, J. I. Kraszewskiego. — Za Oceanem, wspomnienia z podróży, przez Helenę Negroni. — Kronika działalności kobiecej. — **Drobne listki.**

Dodatek obejmuje: arkusz 2-gi tomu II-go powieści p. t.: **Dwie**, przez M. Georgianę Craik. — Przegląd mód. — 26 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.